DEFILADA

TYGODNIK ŻOŁNIERZY POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH W NIEMCZECH

ROK III — 24 LUTEGO 1946 — Nr. 8

Przyszłosc szkolnictwa polskiego w Niemczech

nie zależy od dyktatorskich decyzji jednostki

(Korespondencja własna „Defilady")

Monachium, w lutym.

(B.) Organizacja szkolnictwa polskiego w Niemczech jest jednym z najpiękniejszych osiągnięć przymusowego wychodźstwa, jednym z wielkich sukcesów dobrej woli, ofiarności i poczucia obywatelskiego nauczycielstwa i społeczeństwa. Wśród największych trudności, w najkrótszym mimo to czasie objęto siecią szkół wszystkie ośrodki wychodźcze. Znalazły się pomoce szkolne, wydrukowano podręczniki i rozpoczęto pracę oświatową i wychowawczą zanim nauczycielstwo miało czas pomyślec o własnych potrzebach. Równolegle choć później powstała organizacja nauczycielstwa, i wypracowano program nauczania godząc wielkie potrzeby z malymi możliwościami.

Na zjeździe wychodźstwa polskiego w Bardowiek, po półrocznej pracy, przedstawiono podziwu godne wyniki rozbudowy i trudu szkolnictwa polskiego. Wśrod uchwał zjazdu przyjęto jednomyślnie wniosek komisji kulturalno-oświatowej o wstrzymanie repatriacji nauczycieli do czasu całkowitej repatriacji młodzieży w wieku szkolnym. Wniosek ten sprzeczny czasem z osobistymi zamierzeniami nauczycieli, był podyktowany głęboką troską o młode pokolenie. Wynikał z poczucia wielkiej krzywdy i zaniedbania młodzieży, od lat pozbawionej wychowania szkolnego i ze świadomości, że zagadnienie repatriacji jest zbyt trudne i skomplikowane, by można kwestię szkolną odsuwać w niewiadomą przyszłość. Ze strony Centrali szkolnictwa polskiego nic wysunięto w tej mierze żadnych zastrzeżeń. Sprawa była jasna i czysta.

NIESPODZIANKA

Na czele Centrali szkolnictwa polskiego na Niemcy stał dr. Tadeusz Pasierbiński, mianowany na to stanowisko przez ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, prof. Folkierskiego. Jako kierownik Centrali dr. Pasierbiński pełnił jednocześnie funkcje delegata min. oświaty. Nawiasem dodać trzeba, że dr. Pasierbiński w okresie okupacji, jako oficer rezerwy przebywał w obozie jenieckim, gdzie wyróżnił się pracowitością i pozytywnymi osiągnięciami w zakresie pedagogii i rozważań na temat przyszłej organizacji szkolnictwa w Polsce. Jako b. wizytator szkół średnich w kraju, do zagadnień tych podchodził z dużą znajomościa rzeczy i niesłabnącym zapałem.

W grudniu ub. r. dr. Pasierbinski przyjął zaproszenie tymczasowego ministra oświaty rządu warszawskiego, p. Wycecha, i wyjechał do Kraju na przeciąg dwu tygodni. Dopiero po jego powrocie ukazała się w biuletynie Centrali szkolnictwa polskiego notatka w której czytamy:

„W dniach 14—18 grudnia bawił w Centrali szkolnictwa polskiego w Niemczech delegat min. oświaty, por. mgr. Franciszek Pawula, który doręczył listy min. Wycecha i prezesa Związku Nauczycielstwa Polskiego Maja, oraz omówił repatriację nauczycieli i młodzieży. Po nawiązaniu kontaktu z polską misją repatriacyjną i delegatem ministra oświaty, kierownik Centrali udał się dnia 19 grudnia do Warszawy, celem bezpośredniego przeprowadzenia i uzgodnienia stanowiska z ministrem oświaty, z pełnomocnikiem rządu do spraw repatriacji, prezesem ZNP, genralnym sekretarzem Związkow Zawodowych, kierownik Centrali powrócił do Niemiec i objął urzędowanie."

Wyjazd dr. Pasierbińskiego nie był tak bardzo niespodzianką jak fakt samowolnego decydowania przezeń o przyszłości szkolnictwa i nauczycielstwa polskiego w Niemczech, bez upoważnienia z niczyjej strony i bez zasięgania powszechnej opinii.

Dr. Pasierbiński wyjechał nie rezygnując ze swego stanowiska delegata rządu. W jaki sposób pogodził w swoim sumieniu mandat otrzymany od Rządu Polskiego w Londynie, kwestię zaufania kolegów z emigracji, rokowania z samozwańczym rządem w Warszawie oraz nową nominację — jest jego prywatną tajemnicą. Faktem jest, że wyjeżdżając zaopatrzył się w legitymację Polskiego Czerwonego Krzyża dającą mu pewną rekojmię powrotu, a wracając do Niemiec zaopatrzył się w dekret mianujący go delegatem „ministra" Wycecha na Niemcy. Czy chciał być delegatem dwu rządów jednocześnie, trudno pojąć.

W miedzyczasie, 22 grudnia, a więc już po wyjeździe dr. Pasierbińskiego minister prof. Folkierski cofnął dr. Pasierbińskiemu mandat delegata. Dr. Pasierbiński jednak nie zrezygnował z przyjętej na siebie roli i po powrocie rozpoczął ożywioną działalność, którą mimo wszystko nazwać trzeba agitacyjną.

W wydawanych w duchu wskazań rządu warszawskiego „Wiadomościach" opublikował w nr. 82 z 2 lutego swoje wrażenia p. t. „Podróż do Polski" a następnie wygłosił szereg przemówień w ośrodkach polskich. Przyjazd dr. Pasierbińskiego do Monachium doprowadził do krótkiego spięcia.

WYZNANIA

Składając sprawozdanie ze swojej podróży dr. Pasierbiński wyjaśnił, że nie występuje obecnie w charakterze urzędnika, lecz tylko bezpłatnego delegata ob. Wycecha. Omawiając sprawę szkolnictwa w Polsce dr. Pasierbiński nie mówił nic prawie o kierunku wychowawczym, o duchu szkolnictwa, stwierdzając tylko że programy nauczania oparte są na dawnym systemie, lecz tylko tymczasowo, do czasu opracowania nowych, aktualniejszych. Szeroko rozwiódł się natomiast nad sytuacją nauczycielstwa mianowicie materialną, stwierdzając że wszyscy nauczyciele uczący w Niemczech są zrównani w prawach z nauczycielami w Polsce, a czas nauczania w Niemczech będzie wliczony do emerytury i do stopnia służbowego. Nie taił że nauczycielstwo boryka się z trudnościami materalnymi, niemniej jednak klimat prac nauczycielstwa w Polsce wydał mu się pod każdym względem zachęcający. Głównym motywem jego przemówień było „prostowanie" informacji o Polsce, przywożonych do Niemiec przez ludzi uciekających przez zieloną granicę. Ludzi tych dzielił na następujące grupy: uchodźcy polityczni, spekulanci handlowi, zbiegli kryminaliści, awanturnicy, skompromitowani quislingowcy, a wreszcie... uczniowie szukający lepszych warunków nauki.

Dr. Pasierbiński przywiózł ze sobą kwotę pół miliona marek okupacyjnych na pensje dla nauczycielstwa.

Administracja warszawska chce — według niego — wypłacać zapomogi rodzinom nauczycieli w Polsce, nie posiada jednak... dokładnych adresów, sprawa jednak jest o tyle bezprzedmiotowa, że za parę miesięcy — zdaniem dr. Pasierbińskiego — repatriacja zostanie całkowicie zakończona.

(Dokończenie na str 3).

Nagły zwrot w sprawie wojska

Nota warszawska i protest belgradzki

Sprawa wojska polskiego na zachodzie weszła w nową i całkiem nieoczekiwaną fazę. Od dłuższego czasu toczyły się rozmowy między rządem angielskim a administracją warszawską co do losów polskiego lotnictwa, marynarki i dwu korpusów stanowiących trzon polskich sił zbrojnych a pozostających pod dowództwem brytyjskim we Włoszech, w Szkocji i Niemczech. Zdawało się, że rozmowy bliskie są zakończenia i że los tych wojsk w dotychczasowej formie jest przesądzony. Jak o tym donosiliśmy, agenci administracji warszawskiej chwalili się nawet, że sprawa jest już załatwiona i że ci, którzy nie zechcą wrócić, będą przymusowo zdemobilizowani i pozostawieni własnemu losowi.

Przed paru tygodniami rozpoczęła się gwałtowna kampania sowiecka przeciwko Drugiemu Korpusowi. W kraju zapowiedziano proces przeciwko „agentom Andersa", którzy mieli rzekomo gotować zamachy antyrządowe. Radio moskiewskie a w jeszcze większym stopniu warszawskie codziennie mówiło o „faszystowskiej armii Andersa", wtórowała mu prasa wychodząca w kraju. Pisma angielskie, nieprzychylne Polsce, zgodnym chórem rozpoczęły atak na wojsko polskie a zwłaszcza na korpus włoski.

Nagle w dniu 15-go lutego, w przededniu zawarcia umowy z Anglikami, administracja warszawska ogłosiła notę do rządu angielskiego, wypierającą się wojska polskiego na zachodzie. Nota stwierdzała, że wojsko to już nie jest więcej wojskiem polskim, że nie ma wrócić w całości do Polski i że ci z żołnierzy, którzy w przyszłości zechcą powrócić, będą to mogli zrobić tylko jako cywilni obywatele za pośrednictwem konsulatów. Nota wywołała duże wrażenie w Anglii. Rząd był zaskoczony i nie krył zdziwienia a prasa oburzenia. Parę dni przedtym zapowiedziano oficjalnie, że minister Bevin złoży w parlamencie w ciągu tygodnia oświadczenie w sprawie wojska polskiego. Natychmiast po ogłoszeniu noty warszawskiej zapowiedziane oświadczenie Bevina zostało odwołane.

W pierwszej chwili nie orientowano się jaki jest cel noty warszawskiej i bezpośrednia przyczyna nagłej zmiany stanowiska. Nazajutrz sprawa wyjaśniła się. Nota była potrzebna aby zerwać rokowania z Anglią i umożliwić Sowietom nowe natarcie dyplomatyczne. Nazajutrz bowiem sowiecki minister spraw zagranicznych, Wyszyński, złożył obradującej w Londynie Radzie Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych list zawierający protest administracji jugosłowiańskiej Tita przeciwko obecności wojsk polskich we Włoszech w pobliżu granicy jugosłowiańskiej i rzekomej opieki udzielanej przez te wojska antyrządowym elementom jugosłowiańskim. Protest jugosłowiański stać się musi przedmiotem zasadniczej dyskusji w nowej lidze narodów.

Jest to już czwarty atak dyplomatyczny sowiecki przeciwko Wielkiej Brytanii w O.N.Z. Pierwszy dotyczył wojsk brytyjskich w Indonezji, drugi wojsk brytyjskich w Grecji, trzeci wojsk brytyjskich w Syrii, czwarty dotyczy wojsk polskich we Włoszech. Cel nie jest jeszcze całkiem jasny, choć naogół sądzą w Londynie, że atak ten jest sposobem obrony sowieckiej przed wtrącaniem się zachodnich sojuszników w sprawy krajow okupowanych przez Sowiety i ma zmusić Anglię do rezygnacji w sprawach Europy środkowej, a w szczególności w sprawie polskiej i jugosłowiańskiej.

W położeniu wojska polskiego na zachodzie nowa sytuacja wprowadza zmianę o tyle, że niemożliwe już stało się ciche i „bez krzyku" zlikwidowanie wojska. Sprawa odbywać się będzie na oczach opinii publicznej. Przytym dziś już jasna dla każdego jest zła wola administracji warszawskiej i jej zupełna niesamodzielność. Nota rzuciła snop światła, dostrzegalnego nawet dla bardzo źle widzących.

Mysli zolnierza

W klatce

W jesieni ubiegłego roku, gdy przeprowadzono po raz pierwszy tzw. plebiscyt w wojsku polskim na temat tego kto chce w obecnych warunkach wracać do kraju, zgłosiło się we Włoszech zpośród żołnierzy Drugiego Korpusu około piętnastu tysięcy (na sto kilkanaście tysięcy żołnierzy II Korpusu i bazy). Odjechali oni niedawno do Polski. Władze warszawskie witały ich bardzo uroczyście jako „bohaterów z pod Monte Cassino", mimo, że wśród przybyłych nikt prawie nie brał udziału w walkach na froncie włoskim, a wszyscy byli z dawnej armii niemieckiej. Obwożono ich po różnych miastach polskich. Ludzie jednak przyjmowali ich przyjazd bez żadnego entuzjazmu, a nawet z wyraźną niechęcią. Nie było powracającym widocznie zbyt dobrze, bo znaczna część z nich (trzy tysiące) już opuściła Polskę i przeniknęła na zachód. Największa grupa przebywa obecnie na terenie Austrii.

Tak to bywa. Ludzie czują się źle na wygnaniu, tęsknią, chcą wracać. Cóż bardziej naturalnego i zrozumiałego? W tym samym czasie ludzie w kraju dochodzą do przekonania, że życie jest nie do wytrzymania i kto może, zwłaszcza kto młodszy i bardziej przedsiębiorczy, stara się wydostać na zachód. Ruch jest w obie strony przez granicę, która podzieliła dawną Europę na sowiecką Eurazję i anglosaską Atlantydę. Nietylko Polacy są w ruchu. We Francji ogromna część młodzieży chce emigrować, konsulaty państw zamorskich są oblężone, a prasa pisze o tym zjawisku jako o groźnym niebezpieczeństwie narodowym. Pocieszmy się (jezeli to ma być pociecha), że nietylko w Polsce ale w większości krajów Europy życie stało się mniej lub więcej nieznośne.

Indywidualne wycieczki i przeprowadzki, powroty i rezygnacje nie zmienią tu niczego. Sprawa musi być jakoś uregulowana zasadniczo. Zasada cywilizacji chrzescijańskiej musi w świecie zwyciężyć. Może zwyciężyć samą swoją siłą moralną. Ale to musi być siła. Dlatego ważne jest istnienie jaknajwiększych ośrodków zorganizowanych stojących na gruncie europejskim, cywilizowanym, chrześcijańskim, na gruncie wolności ludzi i narodów. Jeżeli gdzieś taka siła istnieje, nie wolno jej rozbijać przez niecierpliwość czy niewytrzymałość. Lepiej przetrwać okres najcięższy w zorganizowanej masie niż samotnie rzucać się na wezbrane fale, których kierunku nikt nie jest w stanie w tej chwili przewidzieć. Lepiej wywierać wpływ przez organizację siły, w której się bierze udział niz próbować nie czekając na wywarcie wpływu i zmianę stosunków, kombinowania na własną rękę. Decyzja taka bywa często bardzo ciężka. Cieżko jest pozostawać zdala od swoich i od swojej ziemi w warunkach nie zapewniających żadnej drogi na przyszłość. A jednak na dłuższą metą takie wyrzeczenie chwilowe może okazać się najmądrzejszym postępowaniem.

Europa przypomina w tej chwili klatkę z lisami. Ludzie jak lisy w klatce biegają wzdłuż krat od jednego końca w drugi i z powrotem, szybko, niespokojnie, bez ustanku. Zwierzęta nie mogą się zdobyć na nic innego poza nerwowym, mechanicznym bieganiem wzdłuż ścian klatki. Człowiek od tego jest człowiekiem, żeby myślał i działał w sposób rozumny i zorganizowany. I zacznie w ten sposób działać prędzej czy później. Wtedy położenie zmieni się zasadniczo. Trzeba tylko umieć do tej chwili doczekać.

Rada Ugrupowan Politycznych

W Londynie powstała Rada Polskich Ugrupowań Politycznych.

W Radzie znaleźli miejsce przedstawiciele następujących partii: Polskiej Partii Socjalistycznej, Stronnictwa Demokratycznego, Partii Pracy, Stronnictwa Ludowego „Wolność" i Stronnictwa Narodowego.

Powstanie R.P.U.P. jest ważnym krokiem w kierunku konsolidowania wysiłków Polaków, pozostających poza krajem, w pracy dla odbudowy prawdziwie niepodległej i demokratycznej Polski.

Pierwszym aktem Rady był memoriał złożony przewodniczącym 45 delegacji Organizacji Narodów Zjednoczonych, której ogólne zgromadzenie odbywa się — jak wiadomo — w Londynie. Memoriał ten, będąc protestem przeciw narzuconemu przez Rosję Tymczasowemu Rządowi, domaga się rewizji spraw polskich i przywrócenia Polsce prawdziwej wolności.

Sprawiedliwość i przyjaźń

Premier Nowej Zelandi o polskich zolnierzach

Za „Dziennikiem Polskim“ podajemy sprawozdanie z jednego z ostatnich posiedzeń UNO, które ze względu na zawarte w nim stwierdzenie zobowiązań Zachodu wobec żołnierza polskiego — nabiera dziś specjalnej aktualności.

Na Zgromadzeniu UNO podniósł się mocny głos w obronie żołnierza polskiego a zarazem w obronie praw politycznych uchodźców. Stało się to w dyskusji o uchodźcach. W obronie wojska polskiego stanął przewodniczący komitetu dla spraw społecznych, humanitarnych i kulturalnych, premier Nowej Zelandii, Peter Fraser.

W swej polemice z tezą delegacji jugosłowiańskiej, popartą przez delegację rosyjską i warszawskiego rządu tymczasowego, aby pozostanie uchodźców zagranicą uzależnić od zgody ich rządów, premier Fraser określił swój stosunek do całości zagadnienia mówiąc o żołnierzach polskich na Zachodzie:

„Nie lubię wymieniać jakiegokolwiek kraju, ale być może moi przyjaciele z Polski wybaczą mi, że omówię trudności związane z ich obywatelami. Wystosowane było zaproszenie do wszystkich ich żołnierzy, by powrócili do swego kraju. Wielu powróciło. Być może, wszyscy powinni byli powrócić i okazać zaufanie do tego rządu, ale wielu nie uznało tego za możliwe.

Wielu z nich walczyło u boku żołnierzy z mojego kraju w całej kampanii w północnej Afryce oraz pod Cassino, w jednej z najstraszliwszych bitew wojny. Widziałem ich poległych na zboczach Monte Cassino, po tym gdy atak ich doprowadził do zdobycia tej potężnej fortecy. I nie potrafię wyobrazić sobie, abym mógł się zgodzić na to, by ci ludzie, którzy ryzykowali swoje życie, towarzysze tych, którzy zginęli w walkach najbardziej gwałtownych ze wszystkich w całej wojnie — aby ci ludzie dlatego że nie widzą możliwości powrotu do swego kraju, mieli uzyskać do wyboru jedynie powrót albo śmierć z głodu. Nie mogłbym wziąć w tym udziału.

To nie są quislindzy; to nie są zdrajcy; to nie są zbrodniarze wojenni. To są ludzie, których tysiące latało nad Niemcami z W. Brytanii i którzy brali udział w wojnie wraz z innymi bojownikami z Rosji, Czechosłowacji, W. Brytanii, ze Stanów Zjednoczonych i ze wszystkich Dominiów brytyjskich.

Ciąży na nas odpowiedzialność w stosunku do tych ludzi“.

W związku z powyższym wystąpieniem nowozelandzkiego premiera, Dowódca Dywizji przesłał na jego ręce list stwierdzający, że żołnierz polski umie ocenić przyjaciół, którzy nie zapominają o nim w trudnych chwilach.

Podziękowanie Dowódcy Dywizji

PANIE PREMIERZE,

W imieniu własnym i moich towarzyszy broni, chcę Panu wyrazić głębokie uznanie dla stanowiska jakie Pan zajął w swoim przemowieniu dnia 6. II. 1946 na posiedzeniu Komisji Społecznej Humanitarnej i Kulturalnej U.N.O.

Zrobił nam Pan wielką przyjemność przypominając te niezatarte dla nas chwile bojowej współpracy ze wspaniałym Korpusem Nowozelandzkim w kampanii afrykańskiej i włoskiej, a głównie pod Monte Cassino, jak również braterstwa broni z innymi wojskami alianckim na niemal wszystkich frontach tej sześcioletniej wojny.

Muszę Pana zapewnić, iż pomimo trudności jakie teraz przeżywamy, a które Pan tak doskonale rozumie i tak subtelnie umiał oświetlić, mam jedną wielką satysfakcję żołnierską: możemy każdemu patrzeć prosto w oczy i nie potrzebujemy się niczego wstydzić ani żadnych wybiegów używać. I gdyby tylko to miało być naszym jedynym na razie zwycięstwem, to i tak uważamy, iż wkład nasz do wojny i do wysiłku wszystkich uczciwych ludzi aby świat zrobić lepszym — nie jest najmniejszy.

Proszę przyjąć gorące wyrazy

K. RUDNICKI, gen. bryg.
D-ca 1. Dyw. Panc. — b. zast. dowódcy Dyw. Kresowej

Pułkownik Banach odchodzi

Płk. dypl. Kazimierz Banach, szef Polskiej Misji Wojskowej przy dowództwie B.A.O.R. odszedł niedawno na nowe stanowisko do Sztabu Głównego. Dowódca Dywizji przesłał na jego ręce następujący list:

Panie Pułkowniku!

W związku z odejściem Pana ze stanowiska szefa Polskiej Misji Wojskowej przy B.A.O.R. z powrotem do Londynu — pragnę zapewnić Go jak wysoko ceniłem sobie współpracę z Panem i wyrazić moje osobiste podziękowanie za utrzymanie tak zawsze miłego stosunku osobistego i służbowego pomiędzy misją Pańską a 1. Dywizją Pancerną.

Wiemy dobrze — tu w Dywizji — wiele zapału, trudu i serca zawsze Pan Pułkownik wkładał w swą pracę, celem ulżenia doli naszych rodaków cywilnych i wojskowych, których zły los i zbrodnicza ręka zapędziły pod przymusem do Niemiec.

Oceniamy bardzo pozytywne rezultaty, które Pan osiągnął w dziedzinie organizacji i opieki pomimo licznych i rozmaitych trudności.

K. RUDNICKI, gen. bryg.
Dowódca 1. Dywizji Pancernej

Prasa angielska

o kongresie ludowców

Tygodniki angielskie zamiesciły w ostatnim tygodniu stycznia sprawozdanie z odbytego w Warszawie kongresu Polskiego Stronnictwa Ludowego, opatrując je krótkimi komentarzami.

„Time and Tide“ pisze: „Mikołajczykowi udało się nieco odwlec decyzję co do przyłączenia się do rządowego bloku wyborczego. Koła polskie w W. Brytanii od początku nie miały wielkiej nadziei, by kongres dał negatywną odpowiedź na propozycje partii rządowej. Terror panujący obecnie w Polsce nie dopuszcza żadnego optymizmu co do szans jakiejkolwiek partii, ktoraby ośmieliła się stawić opor. Kongres odbył się niewątpliwie w dziwnej atmosferze, przy akompaniamencie pogróżek reprezentantów rządu, którzy wykorzystali tę okazję by usilnie domagać się jednego bloku wyborczego. Zachęta ze strony premiera Osóbki była dość charakterystyczna: „Przypuszczam, że nikt z was nie chce jałowych sporów, a tym mniej wojny domowej.“ W tych okolicznościach uniknięcie przez Mikołajczyka otwartego starcia musi być uważane za sukces przewyższający oczekiwania, aczkolwiek nie można zbyt pochopnie przewidywać jak długo jeszcze Mikołajczyk zdoła wytrzymać i jakie są jego możliwości.“

Katolicki „Tablet“ cytuje oświadczenie Bieruta, że „każda przeszkoda utrudniająca jedność musi być usunięta bez miłosierdzia“ i dodaje, że „Mikołajczyk musiał usprawiedliwiać się przed swoimi zwolennikami, którzy mu zarzucali, że skapitulował wobec komunistów. Radio warszawskie streściło głównie tylko przemówienia out-siderów kongresu, którzy domagali się „jedności“. Wicepremier Gomółka wyraził się, że „nie wierzy, by ludność miejska, która nigdy nic nie miała wspólnego z ludowcami, a nawet ich w przeszłości zwalczała, wstępowała obecnie do PSL z pobudek wyłącznie demokratycznych.“

Przytoczone przez prasę angielską oświadczenia przedstawicieli rządu warszawskiego, i ogólne komentarze tygodników angielskich świadczą najlepiej o tym, w jakiej atmosferze odbywał się kongres ludowców, i jak wielki był nacisk czynników rządowych na odwleczoną decyzję Stronnictwa. Prasa angielska nie żywi zbyt optymistycznych przewidywań, co do wolności mających się odbyć w Polsce wyborów. Styczniowy kongres PSL jest jeszcze jednym dowodem słuszności tego przekonania.

Wygodne narzędzie

„Whitehall News“ omawia rolę reprezentanta „rządu“ warszawskiego na zjazd Narodów Zjednoczonych, Modzelewskiego (o którym prasa francuska donosiła, że nazywa się w rzeczywistości Fisch).

„Zarówno w sprawie dopuszczenia Albanii do UNO i w kwestii perskiej p. Modzelewski, delegat warszawski, jaknajgorliwiej pomagał p. Wyszyńskiemu, a w pewnej chwili starał się być nawet bardziej katolicki niż sam papież, oponując przeciw tekstowi rezolucji w sprawie perskiej, który został już przyjęty przez p. Wyszyńskiego. Istnieją powody do przypuszczenia, że delegacja sowiecka uznała taki pokaz służalczości za zbyt kompromitujący i p. Modzelewskiemu powiedziano, że ma wykazać pewną niezależność. Sprawa grecka dostarczyła po temu okazji. Gdyby p. Modzelewski raz jeszcze poparł w pełni stanowisko sowieckie, nie zmieniłoby to w niczym ostatecznego wyniku, a stworzyłoby niebezpieczny precedens dla regimu warszawskiego. P. Modzelewski nie mógł oświadczyć, że obecność wojsk brytyjskich w Grecji stanowi groźbę dla pokoju międzynarodowego nie ryzykując, że podobne oskarżenie może być zrobione w związku z wojskami sowieckimi w Polsce, których rząd warszawski potrzebuje na własne oparcie. To tłumaczy, czemu na pytanie p. Bevina „Czy obecność wojsk brytyjskich w Grecji grozi pokojowi?“ odpowiedział on stanowczym „nie“. Miał on także wszelkie powody by popierać twierdzenie, że, skoro wojska brytyjskie są w Grecji za zgodą kolejnych rządów greckich, Rada nie ma prawa interweniować. Jeżeliby przyjęto to za zasadę powszechną, otworzyłoby to przed Rosją szerokie możliwości zatrzymania wojsk w wielu krajach wschodniej Europy, a może i w Persji, za zgodą odpowiednich rządów marionetkowych.“

140 szubienic

Radio Madona, rozgłośnia radia sowieckiego na Łotwie, podało, że 140 ludzi, którzy walczyli przeciw Związkowi Sowieckiemu, zostało publicznie powieszonych w Rydze na placu przed ratuszem. Ciał ich nie zdjęto, lecz wisiały przez trzy dni jako ostrzeżenie dla ludności łotewskiej.

KALENDARZYK

(25. II. do 3. III. 1946 roku.)

25. poniedziałek — Cezarego
26. wtorek — Wiktora i Izabeli
27. środa — Aleksandra i Gabriela
28. czwartek — Romana
1. piątek — Albina i Antoniny
2. sobota — Heleny i Lucjusza
3. niedziela — zapustna — Kunegundy

Ewangelia

Jezus przepowiada swą mękę (Św. Mateusz 20, 1—16).

Rocznice

25. II. 1831 — bitwa pod Grochowem
28. II. 1768 — powstaje Konfederacja Barska.

Przyszłość szkolnictwa polskiego w Niemczech

(Dokończenie ze str. 1).

Dr. Pasierbiński oświadczył, że przewiduje zamknięcie szkół polskich w Niemczech do dnia 1 czerwca br., t. j. do daty przewidzianej na zakończenie repatriacji. Co się stanie ze szkolnictwem polskim po tej dacie? Dr. Pasierbiński uważa, że stworzone zostanie jakieś szkolnictwo emigracyjne, podobnie jak we Francji czy Belgii. Swoją natomiast działalność dr. Pasierbinski chce zamknąć odesłaniem do Warszawy wszelkich aktów szkolnych (m. in. spisy uczniów, karty weryfikacyjne nauczycieli, itd.) i pomocy szkolnych w postaci bibliotek.

DO KOGO NALEŻY DECYZJA

Własne postępowanie wytłumaczył dr. Pasierbiński następująco: zarówno mianowanie go, jak i odwołanie ze stanowiska delegata ministra oświaty zakomunikowane były mu tylko ustnie, a więc niewiążąco; centrala szkolnictwa powstała z inicjatywy prywatnej i nie jest od nikogo zależna; opinii o projektowanym wyjeździe do kraju nie zasięgał ze względu na trudności komunikacyjne na terenie Niemiec; motywem jego działania jest ideologia Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Wszystkie te wyjaśnienia nie tłumaczą dlaczego dr. Pasierbiński usiłuje decydować o przyszłości szkolnictwa polskiego w Niemczech według swego widzimisię, bez porozumienia z ogółem nauczycieli i bez liczenia się z opinią publiczną. Celem szkolnictwa polskiego w Niemczech nie może być ani statut zawodowy ani deklaracja ideowa. Cel nadrzędny: oświata i wychowanie szkolne, należą do zagadnień, o których nietylko nauczyciel ale i całe społeczenstwo musi opiniować. Szkoła jest czynnikiem wychowawczym a więc ośrodkiem najpowszechniejszego zainteresowania. Tymczasem dr. Pasierbiński stawia wszystko na płaszczyźnie własnej ideologii i czysto materialnego zainteresowania nauczycielstwa.

Dr. Pasierbiński udzielił w toku dyskusji odpowiedzi na interpelacje uczestników, występując jako mało krytyczny chwalca polityki „rządu“ warszawskiego. W zakończeniu stwierdził, że w Polsce będzie miejsce tylko dla ludzi wypełniających swój obywatelski obowiązek, który polega na tym by... stać twardo przy „rządzie Rzeczypospolitej“. Kiedy dr. Pasierbiński w odpowiedzi na konkretne pytanie stwierdził, że nie uznaje legalnego rządu R. P. w Londynie, zebrani zdecydowali że nie mają już więcej o czym mówić z dr. Pasierbińskim i zebranie zostało zakończone.

Wszystko to nie rozwiązuje bynajmniej zagadnienia szkolnictwa polskiego w Niemczech, a nie przyczynia się wcale do stworzenia atmosfery sprzyjającej pracy. W pierwszych dniach marca ma obradować w Hannowerze zjazd nauczycielstwa. Na zjazd ten ma podobno przybyć p. Wycech. Ale... na zjazd ten mogą jechać tylko delegaci. Kto zostanie delegatem?

Należy dbać o to, żeby wybór delegatów odbywał się przy zapewnieniu bezwzględnej swobody wypowiedzenia się poszczególnych środowisk, na którą nie powinny mieć wpływu instrukcje przywiezione przez dr. Pasierbińskiego z Warszawy.

Na lokalnych zjazdach nauczycielstwa, zwoływanych przez dr. Pasierbińskiego, reakcja na jego wystąpienia była bardzo silna. Przemówienie jego w Fallingbostel zakończyło się kompromitacją, a przyjazd do Norymbergi został wogóle odwołany.

Zaufanie nauczycielstwa polskiego w Niemczech wobec b. kierownika Centrali szkolnictwa jest już wyczerpane. Dezycja co przyszłości szkolnictwa leży w ręku ogółu nauczycielstwa, w zgodzie z opinią rodziców.

„Demokracja“

(W) Wielcy sojusznicy chcieliby jaknajszybciej wychować Niemcy do demokracji. Przytym sojusznicy zachodni obawiają się, że jeśli oni tego dość szybko nie zrobią, to wychowa ich po swojemu sojusznik wschodni. Stąd w Niemczech władze popierają obecnie ruchy polityczne i rade widzą działalność partyj politycznych.

Niedawno, bardzo nawet niedawno, kiedy Hitler trzymał twardo władzę w ręku, Niemcy karnie głosowali na jedyną partię. Bo tak chciała władza. Okazało się, że Hitler nie miał słuszności, bo przegrał. Nie był najsilniejszy, a więc nie miał racji — tak rozumuje Niemiec. Ale jest nowa władza i stare przyzwyczajenie każe podobać się nowej władzy.

W rosyjskiej strefie Berlina odbyły się wybory do związków zawodowych. Wybory te dały większość komunistom.

W amerykańskiej zonie odbyły się wybory gminne. Amerykanie lubią w Europie chrześcijańskich demokratów, a przynajmniej wielu amerykańskich wyższych dowódców ich lubi i w Niemczech panuje przekonanie, że najbliżsi Amerykanom są demokraci chrześcijańscy. W zonie amerykańskiej najwięcej mandatów w wyborach gminnych uzyskali Chrzescijańsko-Społeczni. Komuniści zdobyli mało co.

W zonie brytyjskiej odbywają się teraz wszędzie zgromadzenia socjalistów niemieckich. W Anglii rządzi Labour Party czyli stronnictwo socjalistyczne, więc najmilszą powinna być władzom angielskim Socjalna Demokracja. Gdyby ostatnie wybory w Brytanii wygrał Churchill, zapewne widzielibyśmy w Niemczech żywą działalność partii konserwatywnej.

Widowisko to jest zarazem komiczne i tragiczne! Komiczne jest oglądanie byłych hitlerowców przebranych w szaty najmilszej temu, kto ma władzę, partii. Tragiczne jest to, że podobna maskarada odbywa się w całej Europie. Nazwy „demokracja“ używa się i nadużywa dla pokrycia nią ordynarnej gry interesów mocarstw, dla uniknięcia odpowiedzialności, dla osłonięcia terroru i gwałtu. Jeżeli Niemcy np. w zonie brytyjskiej udają taką czy inną odmianę demokratów, to robią to z własnej gorliwości, ale np. węgierscy mieszczanie zmuszeni są głosować na listę drobnych rolników żeby nie głosować na komunistów.

Demokracja jest możliwa tylko w kraju niepodległym. Gdzie nie ma wolności narodu, tam staje się oszustwem albo pośmiewiskiem.

Nie ma także demokracji na urząd. Toteż, jeżeli rozpocznie się między mocarstwami licytacja w popieraniu demokracji niemieckiej w różnych odmianach, skończyć się to może na rozwoju jakiegoś nowego i zupełnie dla wszystkich okupantów nieprzyjemnego hitleryzmu.

Zamiast sztucznie pobudzać demokrację w kraju, który jej nie rozumie, lepiej byłoby zrobić coś dla zapewnienia minimum wolności w krajach, gdzie jak np. w Polsce żywe i istniejące partie nie mogą działać jawnie, gdzie ruchy masowe są prześladowane przez rządzących agentów innego państwa.

NIEZNANA ŚMIERĆ

Jest na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie mogiła, taka jak tysiące innych. Nie ma na niej nawet kamiennego pomnika, stoi tylko prosty drewniany krzyż. Na tabliczce — koszlawy napis. Nazwisko takie zwykłe, szare i codzienne. Zawód: nauczyciel. Wiek: 56 lat. I tylko bardzo niewielu ludzie wie o tym, że w tej to właśnie skromnej mogiłce spoczywają zwłoki marszałka Polski — Edwarda Śmigłego-Rydza.

Latem 1941 roku, wśród niezliczonych plotek, szeptanych na ucho w okupowanej Warszawie, szła głucha wieść o Śmigłym. Ucieczka z miejsca internowania w Rumunii i domysły, co do dalszych planów wodza wrześniowej kampanii były tematem dyskusji konspiracyjnych kumoszek i obiektem specjalnego zainteresowania ze strony niemieckiego wywiadu. Powstawały legendy i nawet sprytne mistyfikacje, wykorzystywane w wewnętrznych sporach politycznych Polski Podziemnej. Nikt prawie jednak nie podejrzewa, jaki był rzeczywisty przebieg ostatnich miesięcy życia Edwarda Rydza-Śmigłego i dokąd skierowała się jego ostatnia droga.

Gdy resztki internowanych w Rumunii kierowniczych osobistości Polski przedwrześniowej zaczęły topnieć coraz bardziej, stało się widocznym, że zbliża się ostateczna likwidacja grupki Polaków, którzy po tragedii roku 1939 znaleźli się w granicach Rumunii, i tutaj, z tych lub innych powodów pozostali. Coraz mniej było tych, którzy w dnie świąt narodowych odwiedzali w Craiovej mieszkanie Śmigłego, ostatnie zażarte dotąd kłótnie i wzajemne wypominania dawnych zasług i grzechów. Sytuacja materialna stawała się coraz gorsza. Masa żołnierska, która pozostała jeszcze w obozach internowanych na terenie Rumunii i Węgier, miała powrócić do okupowanego kraju. Los polityków i wyższych wojskowych był niepewny. Władze niemieckie wywierały ostry nacisk na zwasalizowanych Rumunów w kierunku rozwiązania ostatnich zwartych ośrodków polskich. Umierali też ludzie, załamani fizycznie i moralnie. Z dumnej garstki potentatów przedwojennego reżimu, którzy we wrześniu przekraczali granicę pod Kosowem, zostali już tylko nieliczni. Przy Śmigłym zostało kilku oficerów, wartujących przy silnie strzeżonej kwaterze internowanego wodza. Ale i tych było coraz mniej. Pułkownik Zygmunt Wenda, szef sztabu Obozu Zjednoczenia Narodowego, zmarł w niewyjaśnionych, zagadkowych okolicznościach. Inni wywędrowali do Polski, aby wziąć udział w pracy niepodległościowej. Beznadziejność długich wieczorów w Craiovej stała się nie do zniesienia. Całą gorycz oskarżeń przeciw ludziom i historii okresu przedwrześniowego zawarł Śmigły w napisanej przez siebie książce i kilku brulionach pamiętników, odczytywanych w niewielkim kółku wiernych. Było to namiętne oskarżenie losu, który sprzysiągł się przeciw propagandowej legendzie.

Dojrzewał zwolna plan ucieczki, postanowienie powrotu do kraju, chęć ekspiacji, odkupienia własną, ciężką i niebezpieczną pracą całej, może wbrew sobie zawinionej małości ducha, która przygniatała Śmigłego na wygnaniu, rujnując go fizycznie i nadwątlając jego niewielką odporność.

W ciemną noc ucieka ostatecznie z zameczku w Craiowej, przy pomocy najbliższego, wiernie sobie oddanego przyjaciela. Długa i ciężka jest ta ucieczka, wymykanie się sieciom obławy i przemykanie przez zielone granice. Wreszcie — Polska. Nie ma obaw, nikt nie pozna Marszałka Rydza-Śmigłego w zgarbionej postaci mężczyzny w okularach, o znękanych, pooranych rysach twarzy. Choroba serca męczy, przeszkadza w szybkim poruszaniu się. Drżące ręce i wyblakłe oczy starego, zniszczonego człowieka. Dobre, pewne papiery na jakieś obce nazwisko. Zawód — kierownik szkoły powszechnej. Pomogli „przyjaciele", którzy powrócili do kraju, by tu znów „robić politykę". Potrzebny im jest sztandar, nazwisko. Chodzi poprostu o wykorzystanie jego narastającej, uczciwej żarliwości wewnętrznej. Jest smutny, milczący. Patrzy boleśnie, z goryczą na powrześniowe warszawskie gruzy. Stąpa ostrożnie, by nie urazić kamieni.

Pierwsze miejsce postoju w Warszawie — to wielki skład mebli i wyrobów drewnianych na jednej z bocznic Marszałkowskiej. Narazie nie można znaleść odpowiedniego lokalu na mieszkanie. Wypróbowani konspiratorzy, nielegalni kwatermistrze Polski Walczącej, krzywią się niechętnie na sam dźwięk nazwiska, a cóżby dopiero powiedzieli, wiedząc, że chodzi tu o mieszkanie dla samego Śmigłego. Spędza więc długie noce w zimnym, wielkim meblowym składzie, by za dnia chodzić powoli ulicami w swoim wyszarzanym cywilnym płaszczu, i przystawać długo przy ruinach. Taka codzienna droga spaceru: od Bagateli, koło Belwederu, Alejami Ujazdowskim — przed zawartą bramą Łazienek i pustym cokołem pomnika Szopena. Tylko chwilami ktoś z przechodniów, idących naprzeciw, spojrzy mu długo, uważnie w twarz, jakby sobie coś odległego przypominał. Wtedy stary nauczyciel wsuwa nos głębiej w kołnierz palta i garbi się coraz bardziej.

W październiku przenosi się wreszcie Śmigły na ul. Sandomierską, do mieszkania wdowy po jednym ze swych najbliższych kolegów, generale W. P., który zmarł w tragicznych okolicznościach jeszcze przed wybuchem wojny. Tu już jest dobrze, zacisznie, życzliwie. Stare fotografie, odznaki brygadowe, dywizyjne. Opieka, dobre, mądre i pocieszające słowa. Uspokaja się też i zwolna przychodzi do siebie. Odzywa się w nim nawet energia i inicjatywa osobista. Długie, wieczorne rozmowy z gospodynią mieszkania, której syn walczy jako lotnik w Anglii. Wspominanie dawnych, dobrych czasów i ludzi. Teraz zaczynają już zwolna otaczać Śmigłego „polityczni przyjaciele". Broni się. Nie chce żadnych rozłamów w Polsce Walczącej, chce tylko w miarę swoich sił wziąć udział w walce. Odczytuje znów fragmenty książki i pamiętników. Napróżno zastrzega jednak, aby ich w żadnym wypadku nie publikowano. W różnych pismach konspiracyjnych ukazują się mimo to sensacyjne artykuły o nieznanych kulisach okresu przedwrześniowego. Mało kto wie dziś jednak, co było właściwym źródłem tych artykułów. O osobę Śmigłego rozpoczyna się walka w ciasnym kręgu „przyjaciół", pretendujących do roli jego pretorianów.

Do mieszkania na ulicy Sandomierskiej schodzą się jednak także i inni ludzie, młodzież Polski Podziemnej, zapalczywi kandydaci na ideologów i odważni bojowcy. „Pan profesor" toczy z nimi długie rozmowy, obserwując uważnie kadrę rozrastającej się Armii Krajowej.

Pewnego dnia wpada do pokoju jeden z tych młodych zapaleńców:

— Czy pan wie, że podobno Rydz-Śmigły dostał się na Bliski Wschód do naszych wojsk?

„Pan profesor" uśmiecha się spokojnie, rozważnie i trochę z goryczą.

Po długich staraniach i trudnościach wyznaczony zostały wreszcie termin spotkania Śmigłego z gen. Grotem (Stefanem Roweckim) ówczesnym dowódcą Armii Krajowej, zamęczonym w dwa lata później w Berlinie. Po czterech trawie latach marszałek ma spojrzeć znów w oczy swego dawnego sztabowego oficera, i oznajmić mu wolę walki przy jego boku.

Zdenerwowanie oczekiwania. Tymczasem pogłebiająca się choroba serca daje się coraz bardziej we znaki. Młody lekarz, który przychodzi codziennie robić zastrzyki, jest wyraźnie zaniepokojony. Trzeba leżeć, nie wolno wychodzić z domu. Do spotkania z Grotem pozostało już tylko trzy dni. Jest grudzień. Zachlapany, zabłocony, siąpiący odwilżowym deszczem w szyby pokoju.

Przychodzi wreszcie tragiczna noc. Już dzien był niedobry, pełen koszmarnych przeczuć. Lekarz dwukrotnie robi zastrzyk. Wieczorem brak już tchu. Szeroko otwarte, zastygające oczy. Przy łóżku płacze gospodyni mieszkania i wierny przyjaciel, podpułkownik Marcin Z., z którym razem przeżywał internowanie i drogę do kraju. Nadchodzi śmierć, bezwzględna i niezwalczona. Z sąsiedniego mieszkania przychodzi pułkownik, Zygmunt P., jeden z wybitnych oficerów sztabowych A.K. Nie wie właściwie do kogo jest wezwany. Wchodzi zdenerwowany do pokoju Przygląda się długo spokojnej już twarzy zmarłego. Poznaje. Wypręża się w postawie na baczność, by runąć za chwilę na kolana, przy łóżku. Długo w noc modli się tych troje przy zwłokach.

Pracownicy małego pogrzebowego zakładu złożyli do trumny ciało kierownika szkoły powszechnej, zameldowanego na chwilowy pobyt i zmarłego nagle na „angina pectoris". I tylko gospodyni mieszkania wsunęła do lewej kieszeni marynarki wizytówkę swoją, ze stwierdzeniem identyczności zwłok marszałka Polski Edwarda Rydza-Śmigłego. Kilka tylko osób odprowadziło trumnę na cmentarz. I przybył jeden jeszcze drewniany krzyż w długim cmentarnym szeregu.

K.

Odpowiedzi Redakcji

J. S. „Proba" — Z prawdziwym żalem musimy odrzucić dalsze prace Pana. Z tych ostatnią pozwolimy sobie przesłać na ręce p. pułk. B. ojca zmarłej Poetki. Jest to bezwzględnie najlepszy z nadesłanych wierszy. Szkoda, że wszystkie są niedostatecznie przepracowane. Tematyka raczej publicystyczna, a nie poetycka Gorzej że usterki formy są w Pana wierszach poważne. Niech Pan wiele razy przeczyta każdy swój wiersz — sam Pan je zauważy.

A. Chmura — Serdeczny uścisk dłoni. Dziękujemy.

Zjazd dziennikarski

Na zachód od Frankfurtu, w górach Taunus, leży maleńka miejscowość Eppstein. Ruiny starego zamku, prosty wiejski kościół, kilkanaście starych i kilka nowocześniejszych will, oraz kilkadziesiąt brzydkich, odrapanych domków, poprzecinanych wąskimi uliczkami — oto cała osada.

Położenie — wspaniałe. Niewielka dolina otoczona ze wszystkich stron górami, wznoszącymi się bądź to łagodnymi stokami, bądź strzelającymi w niebo ostrymi urwiskami; środkiem jej rwie, piętrząc i pieniąc swoje wody, górska rzeczka; w dolinie i na stokach przylegających wzgórz porozrzucane są zabudowania Eppsteinu, raczej... szpecące piekno natury.

W tej to miejscowości w dniach 9, 10 i 11 b. m. zjechało się grono przebywających na terenie Niemiec dziennikarzy polskich, celem zorganizowania Syndykatu.

Obrady Zjazdu trwające dwa dni poprzedzone były nabożeństwami żałobnymi: pierwszego dnia na intencję dziennikarzy polskich, którzy polegli w walce z Niemcami, drugiego dnia na intencję zamordowanych w Katyniu.

W zjeździe wzięło udział 39 dziennikarzy polskich, na 52 zgłoszonych, oraz goście oficjalni.

Pierwszego dnia obrad po otwarciu Zjazdu przez przewodniczącego komitetu organizacyjnego dr. Klaudiusza Hrabyka i po przemówieniach powitalnych wybrano prezydium Zjazdu złożone z siedmiu osob, powierzając również temuż prezydium obowiązki komisji weryfikacyjnej. Sprawozdanie komitetu organizacyjnego, wybory komisji statutowej, komisji matki, i komisji ogólnej oraz referat p. prez. Rusinka p. t. „Zadania prasy polskiej w Niemczech" łącznie z długą i na wysokim poziomie prowadzoną dyskusją — wypełniły pierwszy dzień Zjazdu.

Treścią drugiego dnia obrad było przedewszystkiem opracowanie statutu Syndykatu Dziennikarzy Polskich b. Rzeszy Niemieckiej, wybory władz i uchwalenie opracowanych przez komisję ogólną rezolucji oraz wniosków.

Członkami zarządu Syndykatu zostali wybrani: przewodniczacy — dr. Klaudiusz Hrabyk, v. przewodniczacymi — dr. Wojciech Zaleski, Kazimierz Okulicz i Stanisław Poźniak-Poznański, sekretarzem — Czesław Stanisławski i członkami zarządu — ks. Turbak, Józef Białasiewicz, Władysław Pańczak oraz Tadeusz Starczewski.

W skład komisji rewizyjnej weszli: p. p. Zbigniew Łukaczyński, Jerzy Ptakowski, Roman Orwid a w skład sądu koleżeńskiego — p. p. Cieślak, Czerwiński i Jagielski.

Na wniosek komisji ogólnej uchwalono jednogłośnie wysłać depeszę do Pana Prezydenta R. P. w Londynie następującej treści:

„Pan Prezydent R. P. Władysław Raczkiewicz w Londynie. Walny Zjazd Syndykatu Dziennikarzy Polskich b. Rzeszy Niemieckiej przesyła Tobie Panie Prezydencie, jako Głowie Państwa Polskiego, wyrazy hołdu oraz zapewnienie wytrwania w walce o niepodległość i suwerenność Rzeczypospolitej Polskiej".

„Rząd R. P. na ręce Pana Premiera Tomasza Arciszewskiego w Londynie. Walny Zjazd Dziennikarzy Polskich b. Rzeszy Niemieckiej zapewnia Rząd R. P. o niezłomnej woli pracy dla przywrócenia pełnej niepodległości Naszej Ojczyźnie".

Również na wniosek komisji ogólnej uchwalono wiele jeszcze wniosków i dezyderatów pod adresem nowo wybranego Zarządu oraz przedewszystkiem następującą rezolucję:

„Pierwszy Walny Zjazd Syndykatu Dziennikarzy Polskich b. Rzeszy Niemieckiej, obradujący w dniach 10 i 11 lutego 1946 r. w Domu Dziennikarzy Polskich w Eppstein koło Frankfurtu, grupujący b. więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych, b. jeńców wojennych, b. redaktorów pism podziemnych, walczących przeciw totalizmowi hitlerowskiemu.

1.) wyraża Narodom Zjednoczonym a przedewszystkiem Narodom Imperium Brytyjskiego i Stanów Zjednoczonych wdzięczność za bohaterski wysiłek, uwieńczony pokonaniem totalizmu niemieckiego a tym samym urzeczywistnienia wolności i niepodległości oraz zasad demokracji dla większości krajów świata;

2.) wypowiada przekonanie, że tylko urzeczywistnienie zasad niepodległości narodów, prawdziwej demokracji i wolności słowa w myśl Karty Organizacji Narodów Zjednoczonych we wszystkich krajach zapobiec może katastrofie nowych wojen;

3.) stwierdza, że żadna z tych zasad nie została urzeczywistniona na ziemi polskiej. Jako wolni przedstawiciele żywego sumienia naszego Narodu, wzywamy opinię świata, aby przeciwstawiła się podeptaniu praw narodu, który pierwszy podjął walkę zbrojną z hitlerowskim totalizmem i okupił ją 7-ma milionami ofiar;

4.) uznaje za swą legalną władzę tylko Prezydenta R. P. i powołany bez obcego nacisku Rząd, który przewodzili Narodowi w walce o wolność, stojąc u boku naszych Sprzymierzeńców;

5.) pozdrawia braci naszych w Kraju i wzywa ich do dalszego trwania przy idei niepodległości. Nierozerwalnymi więzami gorącej i serdecznej miłości związani jesteśmy z Polską i z braćmi naszymi w Kraju, zarówno z tymi z bohaterskiej Warszawy, jak i z nieustępliwego Poznania, zawsze wiernego Lwowa i Wilna, miasta Ostrej Bramy;

6.) pozdrawia Wojsko Polskie, które samodzielnie i przy boku armii sprzymierzonych wykonało chlubnie i po bohatersku swój obowiązek na wszystkich polach bitewnych minionej wojny;

7. wzywa wszystkich Polaków, przebywających poza granicami Kraju, do zespolenia się w twardej służbie dla Polski. Dbając o dobre imię Polski, dążyć musimy do podniesienia moralnego i ideowego rzesz wysiedleńczych, budzić gotowość ofiarnego pełnienia obowiązków, ułożyć właściwie stosunki z Władzami a współżycie z innymi narodami oprzeć na zasadach chrześcijańskich;

8.) uznaje za główne obowiązki dziennikarzy: a) podnoszenie zagadnień, jakich inne zespoły Polaków podnieść nie mogą, a zwłaszcza spraw wolności człowieka i wierności dla demokracji zachodniej, tudzież walki przeciwko wszelkim objawom zgubnego dla świata totalizmu; b) wskazywanie na zbieżność interesów Narodu Polskiego z interesami wszystkich innych narodów, dotkniętych tym samym losem co my.

O te zasady walczyli dziennikarze polscy i za nie cierpieli, za nie zginęło ponad 300 dziennikarzy, naszych najbliższych przyjaciół i towarzyszy walki, składając najstraszliwszą w dziejach prasy polskiej ofiarę.

Tym zasadom pozostaniemy zawsze wierni w naszym życiu i w naszej pracy dla Polski i ludzkości".

Zorganizowanie się dziennikarzy polskich, przebywających we wszystkich zachodnich okupacjach Rzeszy, stanowi dalszy krok ku całkowitemu ujęciu życia polskiego w Niemczech w jednolite, samorzutnie wytworzone ramy organizacyjne.

W. P.

Życie polskie w Niemczech

ZWIĄZEK KACETOWCÓW

W początkach lutego ukonstytuował się w Monachium Związek Byłych Więźniów Niemieckich Obozów Koncentracyjnych, obejmujący całą zonę okupacyjną amerykańską i posiadający szereg kół miejscowych z prezesem p. Zygmuntem Rusinkiem i wiceprezesem, p. Kazimierzem Tychotą na czele. W zonie brytyjskiej działa Związek Byłych Więźniów Politycznych z siedzibą w Fallingbostel i kilkoma kołami miejscowymi. Nowe koła powstają.

POROZUMIENIE SAMORZĄDÓW

Komisje porozumiewawcze polskich obozów i ośrodków ze wszystkich trzech okupacji odbyły spotkanie celem ustalenia współpracy. Narada odbyła się w Höchst pod Frankfurtem. Ustalono zasady i formy współpracy Zjednoczenia Polskiego oraz sposoby obrony interesów polskich łącznie we wszystkich trzech zonach.

RUCH ZAWODOWY

W dniach 9 i 10 lutego w Fallingbostel obradował zjazd związku prawników Omawiano obszernie sprawy ochrony prawnej ludności polskiej w Niemczech.

W dniu 11 lutego w Getyndze obradował zjazd związku techników. Omawiano tam również sprawy referatów pracy w poszczególnych obozach i obwodach.

Dnia 21 lutego rozpoczął się w Lingen kurs działaczy oświatowo-młodzieżowych.

NAJBLIŻSZE ZJAZDY

W dniu 4 marca odbędzie się w Hannowerze odprawa nauczycieli zamierzających się repatriować, z udziałem p. Wycecha z Warszawy.

W dniu 6 marca w Hagen odbędzie się pierwszy po wojnie zjazd Związku Polaków w Niemczech, instytucji tak zasłużonej w ostatnich dziesięcioleciach w walce o polskość.

W dniach 16 i 17 marca odbędzie się w Hamburgu walne zebranie Zrzeszenia Wydawców Polskich w Niemczech.

NIEFORTUNNY WYSTĘP

P. Kłos z warszawskiej misji repatriacyjnej zorganizował zebranie w Monachium i Bambergu. Reakcja zebranych była tak nieprzychylna, że z dalszych zebrań zrezygnował, a nawet był proszony przez władze amerykańskie, by nadal nie wnosił fermentu nieprzemyślanymi wystąpieniami.

Sowietyzowana muza

Gustaw Herling-Grudziński, jeden z czołowych młodych krytyków, współpracownik pism II Korpusu, pisze o sytuacji, w jakiej znalazła się obecnie literatura polska w Kraju: „Nie ma dla pisarza rzeczy gorszej i bardziej niebezpiecznej od świadomości kompromisu wobec własnej wizji. Literatura polska w Kraju ma teraz tragiczną okazję powrotu do tradycji z przed wieku: zużywania całego talentu i wysiłku twórczego na sztukę pisania pomiędzy wierszami.“

Zdania powyższe bardzo trafnie charakteryzują matnię w jakiej znaleźli się pisarze polscy, którym zamknięto drogę do swobodnej twórczości, skazując na zewnętrzne chociażby pogodzenie się z warunkami policyjnego państwa. Wolność wypowiadania się i zajmowania stanowiska została ograniczona wąskimi ramami cenzury i zasadniczą linią polityki kulturalnej, wytyczoną przez Ministerstwo Kultury i Sztuki w zgodzie z zasadniczym nastawieniem warszawskich kół rządowych. Metodycznie na wszystkich odcinkach przeprowadzana od góry „rewolucja wewnętrzna“, która ma zapewnić należyte działanie całości w ustalonym przez Związek Sowiecki planie organizacji Europy środkowej i wschodniej, musiała ogarnąć także dziedzinę życia kulturalnego, artystycznego, związanego nierozdzielnie z całokształtem przemian gospodarczo-społecznych i politycznych.

Kontrola wykonywana przez organy cenzury i ministerstwa jest biorąc powierzchownie bardzo niewielka. Ilość wychodzących pism literackich jest duża, niemniejsza niż w okresie przedwojennym, nakłady przewyższają w niektórych wypadkach nawet nakłady przedwojenne (Np. krakowski tygodnik „Odrodzenie“ i łódzka „Kuźnica“), wachlarz programowy jest też dosyć szeroki. Ukazują się pisma katolickie („Tygodnik Warszawski“, „Tygodnik Powszechny“), wychodzi nawet tygodnik społeczno-literackie „Dziś i Jutro“ redagowane przez grupę Bolesława Piaseckiego, niegdyś najbardziej narodowo-radykalną, dziś w przedziwny sposob pogodzone z lewicowym reżimem. Zamieszczone artykuły zadziwiać mogą niekiedy śmiałościa sądów i czasem nawet krytyczną opinią o panujących stosunkach. Pozór samodzielności utrzymany jest w szerokim zakresie. Nieuważny czytelnik mógłby łatwo odnieść wrażenie, że cenzura jest naprawdę bardzo pobłażliwa.

Poważne, niezależne pióra, znane dobrze z okresu przedwojennego, pisują obecnie w tygodnikach i miesięcznikach o teoretycznym nastawieniu marksistowskim i niedwuznacznym obliczu politycznym. Nawet pisarze, uchodzący za pionierów myśli katolickiej, jak np. Jerzy Andrzejewski, usiłują znaleźć węzły łączące postawę chrzescijańskiego humanizmu z pochwała radzieckiego ustroju, aby usprawiedliwić tylko akces swój do szeregów zwolenników nowego ładu. Fakty te żywo zresztą przypominają zjawisko tak. zw. „poputczików“, pisarzy rosyjskich, niezwiązanych ideowo i wewnętrznie z komunizmem, którzy po rewolucji październikowej, rozpoczęli pracę w ramach nowego ustroju, stając się niekiedy jego piewcami, jak np. Błok, Nikulin czy Borys Pilnik. Była to również rezygnacja z pełnej osobistej niezależności, za cenę umożliwienia publikacji utworów i uzyskania kontaktu z ich społecznymi odbiorcami. Ten początkowy okres „poputczików“ i literackiego NEPu ustąpił jednak rychło miejsca metodzie wykorzystywania dzieła literackiego dla propagandy partyjnej i rządowej. Było to nieuchronną konsekwencją ujednolicenia życia narodowego i podporządkowania go przesłankom politycznym. Tragedie osobiste, jak np. samobójstwo wielkiego poety Włodzimierza Majakowskiego, były jednym z następstw tej drugiej fazy sowieckiej polityki kulturalnej.

Nie należy nigdy przeprowadzać zbyt łatwych porównań, można się jedynie obawiać, że w podobny sposob radykalizować się także będzie postępowanie warszawskiego ministerstwa kultury i sztuki. Wolność wypowiadania poglądów w krajowej prasie literackiej jest już w istocie ograniczona najbardziej przez ustanowienie pewnych „tabu“ krytycznych, nietykalnych pod żadnym pozorem, jak np. sojusz ze Związkiem Sowieckim, więź kultury polskiej z kulturą rosyjską w ramach wspólnoty słowiańskiej. Wolno o tym nie pisać, chociaż trzeba od czasu do czasu wspomnieć, oponować nie wolno jednak w żadnym wypadku. Nie byłoby to zresztą zbyt bezpieczne.

Odbyty wczesną jesienią w Krakowie zjazd pisarzy polskich był widownią kilku wystąpień przeciw próbom wprowadzenia reżimu policyjnego w literaturze. Odważne wystąpienia Jana Wiktora i Stanisława Ryszarda Dobrowoskiego były jednak stosunkowo bardzo ostrożne i operowały tylko ogólną liberalistyczną frazeologią, unikając podnoszenia konkretnych protestów. Oficjalnie uznać musiano jednak pogląd wypowiedzian przez jednego z przedstawicieli „sekcji bezpieczeństwa literatury polskiej“ (wg okreslenia Herling-Grudzińskiego):

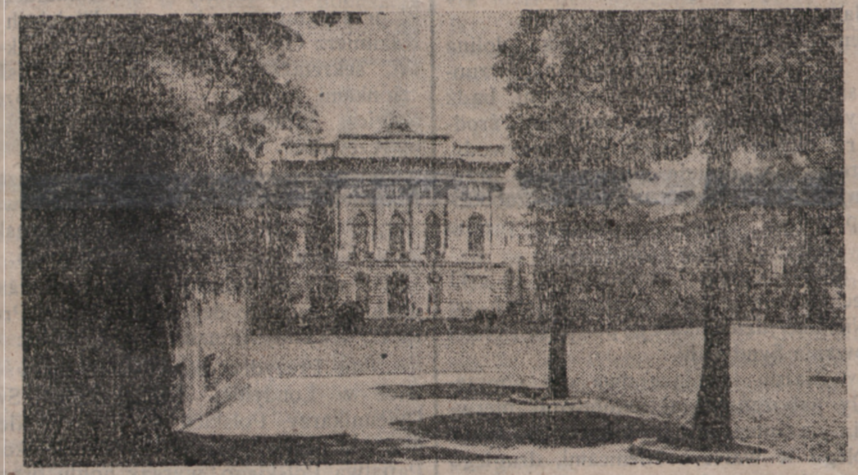
„Nie czas na określanie celów i zadań literatury polskiej. Wiadomo i tak, że pójdzie ona w przyszłości jedynie słuszną drogą marksistowskiej koncepcji życia.“ Wystarczy.

Jedną z najlepszych metod kontrolowania akcji wydawniczej jest także zastosowana monopolizacja materiałów, głównie papieru, którego zapas i rozdział oddany został do dyspozycji spółdzielni „Czytelnik“, kierowanej przez dziennikarza PPR-owego Jerzego Borejszę, szarą eminencję prasy krajowej. „Czytelnik“ skupuje rękopisy, rozdziela papier, organizuje kolportaż, interesuje się jednym słowem wszystkimi sprawami dotyczącymi ruchu wydawniczego. Pisma i książki polskie, przenikające na rynek przez sito oceny władców „Czytelnika“, dzięki swoim nakładom i szerokości rozprzestrzenienia wpływają kształtująco na oblicze współczesnej literatury polskiej. Kierunek tego wpływu jest jednoznacznie określony niezłomną wiernością sojuszowi (czemuś więcej niż sojuszowi) i ze wschodnim sąsiadem i protektorem, ujawniana przez kierowników odpowiednich instytucji rządowych i partyjnych.

Oficjalna „Rzeczpospolita“ zaatakowała w nr. z 6. II. br. katolicki tygodnik warszawski za artykuł Stefana Kisielewskiego, potępiajacy „z punktu widzenia światopoglądu chrzescijańskiego“ wszystkie totalizmy. Krytyka dopatruje się przeciwieństwa między ogólnie antytotalistycznym stanowiskiem Kisielewskiego, a poparciem i błogosławieństwem udzielanym przez Watykan totalizmowi Hiszpanii i Portugalii. Jest w tym rzekomo jakaś niekonsekwencja. „Rzeczpospolita“ domaga się potępiania i zwalczania wszystkich bez wyjątku totalizmów (!). I to pisze rządowy, oficjalny organ wiernych przyjaciół wschodniego sąsiada, atakując literackie pismo katolickie... Trudno wśród tych dyskusji odnaleźć prawdziwą, rzetelną konsekwencję.

(tak.)

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W WARSZAWIE



Cudzy chleb

Czy wiesz kolego, jaki jesz chleb?
W jakiej się piekł piekarni? ...
Że na tym chlebie pot twój skrzepł,
Że jest ze wszystkich w świecie gleb.
Ten chleb, co wisząc na latarni
Zapracowali twoi bracia wielcy,
Bohaterowie, choć wisielcy!

Czy wiesz kolego, że przyczółek
Usłał się trupem tych piekarzy? ...
Z tej krwawej pracy - tysiąc bułek
Ogień armatni w nocy smażył.
Że go mięsiły nogi w skwarze,
Na piasku białym i złotawym,
Kruchości nabrał na Saharze,
Na węgiel stlił się w mgle Warszawy.

Nic darmo nie ma — chleb się barwił
Biało od śniegu, szaro w bruku ...
Wodą do niego stał się Narwik,
I pokrajali go w Tobruku.
Właśnie dla ciebie mój kolego,
Piekliśmy wszyscy bochny w dymie!
Jedz chleb spokojnie — a do tego ...
Czegóż chcesz jeszcze mój kolego?

Z bitwy chleb biały nie wyrasta ...
Czarny jak ziemia, mdły jak glina.
Z bardzo zwykłego chleb jest ciasta,
I smakiem łaskę przypomina!
Chleb jada każdy — nawet słudzy
Zęby w nim topią niby znamię.
I chociaz chleb ten nie jest cudzy,
Niech się zamieni głupcom w kamień!

MAREK GORDON.

(Wiersz powyższy przedrukowujemy z wydanego w październiku ub. roku na wyspie Sylt tomiku pod tym samym tytułem.)

Uśmiechnij się choć na chwilkę . . .

Pani (do pokojówki, która ma śliczne włosy) — Alicjo, moje dziecko, wyjmij ze swych włosów tę sztuczną różę, ona mnie drażni!

Alicja. Oh! proszę mi wybaczyć, ale nie każdego stać na codzienne kupno świeżej kamelii do peruki.

*

— Co pani mówi — jest pani piękna jak serduszko... i pani mąż nie jest zazdrosny?

— Ależ nie.

— A więc ma takie zaufanie do pani?

— Nie, do siebie!

*

— Jak czuje się Marysia twoja narzeczona?

— Nasze zaręczyny zerwane. Kiedy ją pocałowałem stwierdziłem, ze jej usta pachniały tytoniem.

— To zerwałeś z nią dlatego że pali?

— Przeciwnie, ona wcale nie pali!

Ostrogi

Po sześciu latach pobytu w obozie jenieckim, każdy wojskowy musi stać się kawalerzystą: dosiąść jakiegoś „konika“, jednego z tych, które grzeczni Anglicy nazywają „hobby“, a niegrzeczni Polacy „hisiem“, „świrkiem“ albo „zajobem“. Na tym koniku jeździ — póki go nie zamieni na innego.

Jasio był kawalerzystą znacznie wcześniej nim dostał się za druty. Nie potrzebował więc szukać nowego „konika“. Pozostał przy zwykłych kawaleryjskich narowach, tylko wysublimował je do najwyższego stopnia, stwarzając z nich nietylko światopogląd, ale i rodzaj mistycznego kultu. Świat jego zaczynał się od wędzidła, a kończył na podogoniu, był jednak ogromny. Jasio wszystko wiedział, wszystko umiał, wszystko rozumiał, choć zachowywał niezmienną perspektywę jeźdźca przyzwyczajonego do patrzenia z wysokosci swojego własnego siodła, z odcieniem wyższości, ale z doskonałym poczuciem równowagi. Wszystko ujmował po kawaleryjsku: Instynktownie. Z temperamentem. Z fantazją. Z brawurą. Wcielony element ruchu.

Napozór jednostronny, nigdy nie był monotonny. Można było godzinami słuchać jego monologu o koniu, o rzędzie, o barwach pułkowych, o tradycjach i zwyczajach kawaleryjskich. Znał na pamięć każdego dowódcę szwadronu we wszystkich brygadach, każdego zwycięzcę na konkursach hippicznych, każdą złośliwą żurawlejkę, a wiedza jego obejmowała konnicę nietylko polską ale i carską i cesarsko-królewską. Istna encyklopedia jeździecko-wojskowa.

Encyklopedia bardzo wytwornie wydana. Elegancją bił wszystkich o wiele długości. Rujnował się na nowe guziki, szył coraz świeże proporczyki na kołnierz, zaprasowywał bryczesy butelką cennego wrzątku, codzień olśniewał cholewami, od święta zdumiewał kolorowymi lampasami, a od rana do nocy szedł za nim i przed nim brzęk ostróg, dzwoniący jak daleka sygnaturka.

— Osthogi, moi panowie — mawiał — osthogi są symbolem niepodległości ducha i niezłomnej fantazji, kióha stanowi w nászych wahunkach o wszystkim. Nie można przypiąć osthóg kiedy się jest nieogolonym, niedomytym, źle ubhanym. Osthogi zobowiązują. Kiedy się nosi osthogi, nie jest się jeńcem lecz oficehem w każdym calu...

Przez sześć lat zwalczał uparcie tezę o zmierzchu kawalerii w nowoczesnej wojnie i było to główne jego zajęcie w chwilach wolnych od spraw żywnościowych i mundurowych. A kiedy nadszedł dzień ewakuacji obozu, wyszedł za bramę w wysokich butach z ostrogami, na plecach niósł torbę zawierającą galowy mundur, i zaraz za drutami rozpoczął monolog na temat możliwości użycia zagonów kawaleryjskich do działań pościgowych na płaszczyznach pomorskich. Tak, dzwoniąc bez przerwy ostrogami, przemaszerował około 800 kilometrów, nocując jedynie po stajniach, i z czułością patrząc nawet na nawóz koński na asfalcie. Z brzękiem ostróg przeszedł przez dwa jeszcze obozy, aż wreszcie znalazł się na wolności, w koszarach Delmenhorstu.

Nie wstąpił do Dywizji albowiem kawaleria dywizyjna była zmotoryzowana. Nie wrócił do kraju gdyż słyszał że Niemcy i Rosjanie uprowadzili wszystkie konie z Polski. Nie odpiął jednak ostróg, czerpiąc z nich pokrzepienie w chwilach zwątpienia, gdy wiara w przyszłość kawalerii zdawała się w nim załamywać.

Odwiedziłem go niedawno. Siedząc okrakiem na krzesłach, patrzyliśmy przez okno na bloki koszarowe, pogrążeni w melancholijnej zadumie. Wtem na dziedzincu wszczął się nagły gwar i zamieszanie. Zawarczały motory samochodów. Parę aut zahamowało gwałtownie przed budynkiem. Paru żwawych wielkoludów w jasno-zielonych wiatrówkach i głębokich hełmach wyskoczyło na majdan, wydając nieartykułowane okrzyki. Na ten widok z drzwi i klatek schodowych wyroiły się gromady mężczyzn z tobołkami, paczkami i pakami. Pędząc co duchu do aut, wrzucali na nie swój bagaż i ładowali się sami na łeb na szyję. Nim wszyscy zdołali wpakować się do wozów, rozległy się ostrzegawcze wrzaski i od bramy nadbiegł patrol brytyjski. Gruchnęły strzały. Bijąc seriami pistoletowymi w powietrze, rycząc grożnie, Anglicy usiłowali przeciąć drogę samochodom. Ale kierowcy zastartowali z tak piorunującą szybkością, że tylko posypały się tobołki i tuman kurzu zasłonił odwrót. Samochody wyskoczyły za bramę przeciwległą, lecz zaledwie znalazły się na szosie, stanęły znowu, i znowu gromada objuczonych ludzi pogoniła ku nim, na wyścigi z podnieconymi Anglikami.

Jasio patrzył na to widowisko z obojętnym niewspółudziałem, beznamiętnie i apatycznie.

— To wehbunek — wyjaśnil — Amehykanie hekhutują ludzi do batalionów wahtowniczych. Mają oghomne zapotrzebowanie. Przyjeżdżają co pewien czas żeby zabhać ochotników. Jak widzisz, Anglicy bahdzo tego nie lubią, ale Amehykanie działają z kawalehyjską szybkością...

W dziesięć minut później apatia opuściła Jasia najzupełniej. Przyszedł kolega z wiadomościami. Były to wiesci sensacyjne, sprawdzone, autentyczne: Amerykanie rozpoczęli w Dachau organizację szwadronów wartowniczych. Na prawdziwych siadłach i koniach. Z prawdziwymi szablami, z prawdziwymi lancami, z prawdziwymi ostrogami. Nie zapomnieli nawet o proporcach do lanc. Poszukują wytrawnych jeźdźców, wcielają ich do szwadronow, dają znakomite kwatery, wspaniałe wyżywienie, pokażny żołd, wszelkie przywileje i prerogatywy. Szaleją za nimi.

Już przy pierwszych słowach Jasie zsiadł z krzesła i dzwoniąc ostrogami przebiegał pokój nerwowym truchcikiem. A kolega roztaczał przed nami coraz nowe, kuszące wizje.

... Zadanie polega na współdziałaniu z kompaniami wartowniczymi, które strzegą obozów jenieckich, grupujących SS-manów i międzynarodową hałastrę ongiś walczącą przy boku niemieckich dywizji SS. Po zajęciach służbowych ma się do wyboru bezpłatną kawiarnie, bezpłatne kino, rewie i koncerty. W kasynie oficerskim, gdzie nasi oficerowie jadają razem z Amerykanami, podają do stołu jeńcy węgierscy i przygrywa niemiecka orkiestra. Gdy nasi oficerowie po raz pierwszy zjawili się w kasynie, na zlecenie amerykańskich gospodarzy niemieccy muzykanci odegrali polski hymn narodowy, a kelnerzy węgierscy z trzaskiem stawali na baczność.

— Ale konie! — gorączkował się Jasio — Jakie mamy konie?

Okazało się że konie są znakomite Wierzchowce wysokiej krwi. Nie brak rumaków z dawnych polskich stadnin państwowych, ewakuowanych przez Niemcow i odszukanych przez polskich kawalerzystów. Konie te budziły niesłychany podziw oficerów alianckich na pokazie kadryla, w takt dętej orkiestry kawaleryjskiej.

Jasio oszalał. Zdawało się, że jakaś mistyczna siła dźwignęła go na duchu, jakgdyby chciała wyrwać go z wysokich butów i unieść ku niebu. Promienna radość trysnęła mu z oczu. Natchnionym, do głębi przejętym że wruszenia głosem obwieszczał swój triumf. Oto nadszedł jego dzień. Dzień chwały kawalerii polskiej. Nie napróżno przez siedem lat nie odpinał ostróg od wysokich butów. Nie napróżno dzwoniąc nimi przemaszerował piechotą Niemcy ze wschodu na zachód. I oto dziś ... Skrzydła anielskie wyrosły Jasiowi u ramion i wołał jako we śnie i każde jego słowo było jakoby modlitwą.

Już więcej nie słuchał. Gwałtownymi ruchami wygrzebywał jakieś paktasze kawaleryjskie, upychał w nich galowy mundur, parę sztuk bielizny, parę paczek papierosów, a wreszcie sięgnął do szuflady i wydobył... brzękliwy stos metalowych przedmiotów. Było to dwanaście par ostróg.

(Jas.)

WYDAJE PLUTON OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM PIERWSZEJ DYWIZJI PANCERNEJ ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: P/40/OS POLISH FORCES. B. A. O. R.